

# I miejsce

„Sacrum-profanum”

Patrycja LEWANDOWSKA

*Mam piętnaście lat. Uczęszczam do drugiej klasy w I Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Kasprowicza w Inowrocławiu o profilu lingwistycznym. Pisarstwem interesuję się od ósmego roku życia. Właśnie wtedy, po raz pierwszy, co pamiętam dość dobrze, sięgnęłam po długopis i napisałam historię dla siebie i własnej satysfakcji, nie ze względu na projekt szkolny tudzież zadane wypracowanie. Przez lata rozwinęłam zasób słownictwa oraz umiejętność korekty własnych błędów językowych poprzez czytanie książek oraz wpływ popkultury: słuchanie dialogów filmowych, zainteresowanie poezją i autorami dzieł, historią oraz muzyką.*

*Moim ulubionym wierszem jest „Trujące drzewo” autorstwa Williama Blake’a, a ulubioną serią książkową dylogia „Szóstka wron” oraz „Królestwo kanciarzy”. Wierzę, że nawet współcześnie, w czasach szeroko rozwiniętej technologii cyfrowej, umiejętność wyrażania siebie i ludzkich problemów słowami jest taka jak była stulecia wcześniej. Choć historia niejednokrotnie zacierała ludzkie czyny, dzieła różnych epok zachowały się do dziś, są aktualne, skłaniają do myślenia, pobudzają wyobraźnię i duszę. Pisanie pozwala nie tylko na poznanie samego siebie bliżej, otworzenie drogi na późniejsze korzyści z tym związane, ale przede wszystkim dociera do ludzi i na nich oddziałuje. W życiu codziennym mój talent i pasja pomagają mi nie tylko na lekcjach języka polskiego, ale i na każdym innym, którego zapragnęłabym się nauczyć.*

*Jak już wspomniałam, wybrałam profil lingwistyczny i moja przyszłość jest ściśle powiązana z językami, często mam do czynienia z rozprawkami i wypowiedziami argumentacyjnymi w języku angielskim lub włoskim. Umiejętność dobierania synonimów, homonimów pomaga mi rozwijać się piśmienniczo. W kontaktach społecznych też mam okazję do budowania zdań, by w pełni wyrażać swe poglądy i je uzasadniać. Sądzę, że słowa są kluczem do empatii, wyrażenia siebie, a także narzędziem do dyskusji i wymiany poglądów.*

*Do udziału w konkursie zainspirowała mnie ważność tematu, bo dotyka nas- ludzi oraz możliwość pokazania moich umiejętności pisarskich szerszemu gronu publiczności. Miałam nadzieję, że zyskają one uwagę i poruszą odbiorców. Temat nowotworu jest niezmiernie ważny i trudny, nigdy nie jest czarno-biały. W moim opowiadaniu najbardziej skupiłam się na ukazaniu pacjenta, nie jako nieporadnej, słabej jednostki, której "wpompowuje się" mnóstwo leków, a rokowania lekarzy i tak są niepewne, nie jako przysłowiowego "warzywa", ale jako człowieka z krwi i kości, człowieka z marzeniami i celami, który pragnie pozostać sobą tak długo, jak pozwoli mu choroba i los dany "z góry". Reakcja najbliższego środowiska pacjenta oraz skrajne emocje podczas procesu leczenia, od bezdennej rozpacz po usilną nadzieję są, według mnie kluczowe. Dlatego i na nie kładłam szczególny nacisk. Chciałam, aby moje słowa skłoniły czytelników do refleksji nad sobą, nad relacjami z innymi i nad tym, co tak naprawdę powinno być dla człowieka najważniejsze.*

Czułem złość do przyjaciela;  
Złość wyrzekłem, nie doskwiera.  
Czułem złość do mego wroga:  
Nic nie rzekłem, rosta sroga.

Podlewałem ją strachami,  
W dzień i noc moimi łzami:  
Doświetlałem uśmiechami,  
Zdradliwymi podstępami.

I tak rosta w dzień i w noc.  
Aż zrodziła jasny owoc.  
Wróg zobaczył jego światło,  
Że jest mój rozpoznał łatwo.

Zakradł mi się do ogrodu,  
Pod osłoną nocnych chłodów;  
A już rano widzę rady;  
Wróg pod drzewem leży blady.

William Blake „Trujące drzewo”

## Sacrum–Profanum

Na całym świecie były tylko dwie rzeczy, które mój ojciec, człowiek renesansu, mąż stanu, oddany przyjaciel, umiłowany syn i cudowny rodzic, szczerze kochał. I nie byłem to ja ani matka. Myślę, że kochał mnie, gdy byłem całkowitą, półprzezroczystą masą w jego rękach na oddziale położniczym, gdy nie mogłam mówić o nim źle, gdy nie wiedziałam, co robi źle, kiedy nie mogło do mnie dojść, co człowiek, którego twarz ujrzałam jaką pierwszą, w poświęceniu niczym anioła z cudowną misją, może robić złego. I kochał moją matkę, bo z obowiązku żony wobec męża dała mu tego potomka, tę przyszłość, tak jak pokolenia przed nimi. Jednak po latach pojmuję w pełni, że kochał świeżą ambicję, jej spełnienie, które trzymał na rękach, że nie patrzył na mnie jak na nowe życie, tylko zaokrąglenie swojego własnego, koniec długiej liny, rozwidlenie labiryntu. Kochał świadomość, że los kreśli mu ścieżkę dobrobytu, że musi być tak ważny i tak dobry, że udało mu się znaleźć spokojną, obowiązkową żonę, która pragnęła założyć rodzinę.

To był pierwszy gwóźdź do trumny, chociaż pamiętam go tylko z wypełnionych emocjami opowieści mamy. Jego ambicja, ta wielka chmara myśli kotłujących się pod czaszką doprowadzająca jego smukłą wcześniej twarz do ognistej czerwieni pełnej tłuszczu i odbarwień, która przypominała rój os. A on wierzył, że jest taki wielki, taki genialny, że sam je przepędzi, bo to jego głowa była tak wybitna i tak rozwinięta ponad swój czas, ponad ludzi wokół, że prześcigała się z konkurencją w kolejnych projektach, to ona wygrywała akcje na giełdzie.

Często mówił, że to ta ambicja sprawia, że jesteśmy bogaci, chociaż mama tego nie lubiła. Sądziła, że dodaje jej przez to godzin spędzonych na prasowaniu, sprzątaniu, gotowaniu, zajmowaniu się mną. Ojciec miał w głowie jakąś dziwną ścianę. Twierdził, że robi to, co robi, że wścieka się, że skacze mu ciśnienie, że za często podnosi głos, bo nas kocha, a jednak za tym grubym kawałkiem kamienia stał jego próg wytrzymałości, na który mama cały czas zwracała mu uwagę, aż w końcu stwierdził, że go nie rozumie i w zupełności zataił przed nią, kiedy znowu przesuwa go o kolejny bolesny stopień.

Gdy osy zaczynały atakować ciało, ale ambiwalentna żądza rosła i rosła razem z mottem, że do celu idzie się nawet po trupach, skarżył się niczym Bóg grzmiący na świat swymi ognikami, które jednym runięciem są w stanie przeciąć świat – na bóle w piersi, na spadek kondycji, na zadyszkę.

Mówił bardzo często, że umrze, a gdy mama kazała mu przestać, bo siedziałam pokój dalej ze szklanym kubkiem przy uchu i jego górną częścią przy ścianie, on zachowywał się, jakbym nie mogła tego rozumieć. Jakbym nie mogła widzieć, bo

zabawki i wycieczki wynagradzały mi to, że czasami ktoś za głośno krzyknął lub uderzył pięścią w stół.

Kiedy któregoś dnia mama wysyłała tacie wiadomości jak opętana i nie mogła się do niego dodzwonić przez cały dzień, ojciec nie przyjechał autem jak co dzień, w ogóle nie przyjechał. Pojawił się tylko późną nocą jakiś jego kolega i chociaż rzadko płakała, to teraz, widząc moje wielkie oczy pochłaniające jak dusząca się rybka chaos wypalający permanentne ślady na betonowym parkingu, nie mogła przestać szlochać bez głosu, bez najmniejszego pisku. Kiedy mężczyzna ubrany niechlujnie, o spoconych rękach i niezrozumiałej dla mnie, posągowej minie, rzucił coś do niej na klatce schodowej, a ta zmartwiała jak kartka papieru, natychmiast zarzuciła na siebie płaszcz i zbiegła z nim do samochodu.

Ojciec miał zawał. To było strasznie dziwne drżeć ze strachu, że nie wróci, że i mamie coś się przydarzyło, ale kiedy wrócił okazało się, że coś w nim już od dawna ropiąło metafizycznie. Widzenie tego na co dzień nie zatrzymało potrzeby ujrzenia jego bladej twarzy w progu drzwi, który wywoływał ścisk w sercu. I nagle wszystko się jakoś złało, wszystkie przywileje, świat w głowie...

I gdy rok później ojciec zaczął wypalać po paczkę papierosów dziennie, popijając ją alkoholem z brudnej szklaneczki i grzmieć na cały głos o swoim nieszczęściu, rozlałam się gdzieś w tym dymie. Kochał papierosy, kochał wódkę, kochał to, co pozwalało mu zapomnieć o kilogramach. Z tyłu głowy nadal miał stare slogany z gazet i telewizji, reklamujące papierosy jako metodę na schudnięcie. Kochał to, co dawało mu chwilową agonię, dysocjację, co odłączało jego zmartwioną głowę od ciała. Zależność polegała bowiem na tym, że szale sfery fizycznej oraz sfery duchowej musiały się równoważyć, póki jedna nie zaczynała po pewnym czasie oddziaływać w sposób negatywny na drugą. A skoro cały czas był w tym jednym, jedynym w swoim rodzaju bólu istnienia, odseparowany od świata, popadł w skrajność, uzależnienie.

To choroba była nieszczęściem, nie on. To nie on był toczącą się, bazującą kulą, która otrzymuje jedynie zło, które się w niej kotłuje, tylko to, co zaczynało się w nim psuć. Fakt, że wierzył, że cała ta frustracja i przeplatający się wstyd, duma i wszystkie jego wewnętrzne problemy nagle zniknęły wraz z chwilą opuszczenia kliniki obserwacyjnej, wraz z usługiwaniem mu w domu, ciepłymi słowami od kolegów po fachu, którzy często szeptaali za jego plecami. Wierzył, że skoro jego fizyczna rana się zagoiła, to ból psychiczny innych też tajemniczo się zdematerializował. Mówił, że było w tym jakieś piękno, lecz piękno nie polegało na zapomnieniu o przeszłości, bo była niewygodna–i skupianiu się na całkowicie przypadkowym punkcie zwrotnym ku przyszłości. To wymagało czasu, otwarcia

się na nowo, akceptacji, nawet, jeżeli nie byłoby łatwo. W taki sposób wygrywało się życie.

To go nie definiowało, nigdy. Nie to, co przeżył, lecz co mógł przeżyć, bo ktoś gdzieś w którymś momencie to zauważył i coś działał. Definiowało go to, kim jest, a nie te wszystkie wzruszające pozdrowienia. To mogło coś w nim budować, ale nie całego jego. Nie mógł uznać, że los z jednej strony go za coś ukarał, lecz z drugiej, dał mu szansę, odratował go.

Nigdy nie umiałam powiedzieć nikomu, kto by pytał, a pytali, czy ojciec w jakiś sposób przyczynił się do tego, co stało się później? Pamiętam tylko częste wizyty w szpitalu, tak częste, że po pewnym czasie weszły w rutynę. Pamiętam ikonę kręcącego się kółka na ekranie mojego telefonu, gdy próbowałam połączyć się z tamtejszym internetem. Długo siedziałam sama w domu. To, co najbardziej zapadło mi w pamięć było sekwencją wszystkiego, z czym zmagalam się począwszy od diagnozy ojca – rak krtani, a tym, co spotykało mnie już wcześniej i nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy – z niezrozumienia, tej prawie agonalnej posępności, tego zamknięcia w umyśle, tego dziwnego wstrząsu z tyłu głowy, że wszystko ciągnęło się w linii prostej, która nie była ani dobra, ani solidna, ale była, a małe dziecko się jej trzymało, aż do teraz, gdy nagle każdy lamentował. Jedyнным słabym promyczkiem w tej żałobie były wspólne chwile – z ciocią, która wyjechała kilka lat temu do Francji, teraz przyleciała specjalnie po to żeby nas wesprzeć. Przeczesała moje włosy, gdy leżałam pod kołdrą i nie wiedziałam, co z sobą począć. Nawet kuzynki, które widywałam dotąd jedynie na chwilę, teraz spędzały ze mną długie dni.

Nie wiedziałam, dlaczego tak, ale było naprawdę, naprawdę miło.

I gdy pochowali ojca w ziemi obok jego matki, naprawdę nie rozumiałam, co się dzieje. A potem okazało się, że babcia zmarła na raka piersi. Wcześniej o tym nie wiedziałam, bo już nie żyła zanim się urodziłam. Podobno miała w planach zostanie poetką, ten pomysł zrodził się w niej po pierwszej chemioterapii. Ale po drugiej, a następnie po trzeciej, nie była w stanie ruszyć się z łóżka, wymiotowała, a tata trzymał jej włosy. Nie mówię, że to wina lekarzy, bo to nie do nich kierowano żal – tylko do tego, co starsza kobieta, blada jak płatek śniegu i jak płatek śniegu wiotka, uważała za piękno. Mówiła, że nowotwór otworzył jej serce, lecz to nie mogła być prawda. Nikt jej nie zaprzeczał, bo to jej szare komórki jądra od środka choroba, a nie nikt postronny. Każdy starał się ją wspierać, lecz nie mogli razem z nią się cieszyć i wiwatować – nie, kiedy widzieli ją za tą szpitalną szybą, podpiętą do urządzeń, których nazw nie znali.

Mówiła, że rak pozwolił jej zaprzyjaźnić się z samą sobą, dać jej przestrzeń na słabość, ale przestrzeń w jej głowie była zagłuszana przestrzenią w czasie.

Obiecała, że wyda wiersze, gdy pokona to diabelstwo. Obiecała to mojemu ojcu, swojemu mężowi, każdej przyjaciółce. I na pewno by to zrobiła, gdyby nie fakt, że nie dożyła takiego stanu, który pozwoliłby jej rękom na swobodną pracę. Nie dożyła stanu, w którym byłaby wolna. Przestrzeń, w którą wierzyła, że poszerzy jej czas na samorozwój i akceptację faktu, że zachorowała, zniknęła. Jej ubrania całkowicie zaśmierdły szpitalnym odorem, próbowała blokować natrętne myśli o utracie jakiegoś pierwiastka kobiecości. Wszystko zacisnęło się na niej jak zębatki metalowego kołowrotka i wyssały nadzieję z bliskich i ostatni dech życia z jej płuc.

Nigdy nie rozumiałam, jak mogła tak myśleć. Sądziłam, że zmierzanie się z taką tragedią w takim wieku zabiło optymizm. Obserwowanie, jak najbliższe mi osoby starają się wycisnąć ze zgniłej cytryny jakąkolwiek słodką nutę, a i tak ta słodycz jest niedostępna dla tego, kto najbardziej cierpi, wpędza w utratę wiary, pozostali z kolei jak spragnieni sączą tę jedną kroplę udając, że to miłość, którą stracili, desperacko chwytając się dobrych chwil, ale rzeczywistość prędzej czy później skropi w ich oczach brzydkie, chociaż nie niepotrzebne łzy.

Dotarło do mnie, że kiedy zamarzasz na kość, nawet chłodne rzeczy wydają się ciepłe. Głodujący zjedzą wszystko.

Z chorującym było inaczej, widział cytrynę jako najśłodsza lub najbrzydliwszą rzecz pod słońcem. Moja babcia widziała w niej rajski owoc, zapowiedź dobroci i życzliwości od świata, lecz się myliła, nigdy nie dopuszczając do siebie najgorszego.

Mój ojciec widział cytrynę jako zgniliznę i popiół, co też nie było dobre. Sądził, że to wyrok, pragnął wsparcia i chwili na płacz, lecz bał się po nie sięgnąć, był na to zbyt dumny, zbyt uparty do samego końca, za bardzo przesądził swój los.

Nigdy nie możesz być pewien tego, że wyzdrowiejesz. To głupi optymizm, lecz sztuka polegała na odnalezieniu złotego środka–zrobieniu czegoś w czasie, który wiesz, że na pewno masz, w czasie, w którym będziesz czuł siłę i moc do działania, co da ci dumę. Nie chodzi tu o szalone rzeczy, wychodzenie ze strefy komfortu, bo raczej zależy to od osoby–nikt nie przeżywa choroby tak samo, nikt nie może narzucić nikomu sposobu, jak ma sobie z nią radzić, tak jak chory nie może kontrolować w pełni uczuć, jakie wywołuje jego diagnoza. Chodzi tu o coś takiego, co sprawi, że pomyślisz o tym, że właściwie, z czego ludzie rzadko zdają sobie sprawę, życie nie jest mimowolne. Możesz je zakończyć w każdej chwili. Jesteś myślami i zmysłami zamknięty w duszy, ogłuszony faktem, że w nagłym szoku pojmujesz, ile rzeczy faktycznie możesz, ile rzeczy, które nigdy nie przyszłyby ci do głowy, są na wyciągnięcie ręki!

Ale nie! Ty chcesz żyć, naprawdę! Chcesz walczyć, dla swoich idei!

Jednak kiedy ja zachorowałam, dotarło do mnie, że determinacja, upartość i sto innych emocji są całkowicie dobrowolne.

Wszystko, co się liczyło, to rokowania i analityczne podejście lekarzy. I dużo pieniędzy na leczenie. A i tak, najważniejsze, było szczęście.

Coś tak... tak małego i poza kontrolą. Wcale nie cieszyłam się z piękna pod skórą, kiedy moje myśli zostały zredukowane do supła na mojej szyi, drutu kolczastego na krtani przypominającej mi o losie ojca, kiedy leżałam pod kołdrą i dusiłam. Gdy moje śliczne włosy, które mama zawsze zaplatała z czułością w warkocze, wypadały mi z taką intensywnością, że w końcu je zgoliłam–i myśl, że nie zrobiłam nic złego, by mnie to spotkało. Zdrowo się odżywiałam, biegałam, nigdy w życiu nie wzięłam nawet łyka alkoholu, nie miałam papierosa w ustach.

Nagle stałam się największym z największych wrogów i przyjaciół samej siebie, ateistką i katoliczką, bulimiczką i anorektyczką, samobójczynią i miłośniczką życia.

Teraz mama całowała moją nagą, sperloną potem łysinę, lecz czułam na niej tylko jej słone łzy.

Na początku starałam się być jak babcia. Starałam się być babcią, nie tyle przez to, że naprawdę sądziłam, że to dobry sposób pokonanie tej choroby. To był raczej akt złapania się czegoś znajomego, gdy wszystko zważyło mi się na głowę i przekrzywiło świat o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Po pierwszej chemioterapii, osłabiona na silnych lekach przeciwbólowych, bo tak mocno cierpiałam, na oślep szłam do łazienki, ciągnięta przez pielęgniarki pojęłam, że nigdy nie będę jak babcia. Byłam sfrustrowana, bardzo sfrustrowana, bezsilna. Miałam do tego pełne prawo, lecz i tak czułam, że jestem sama na świecie. Zawsze w takich chwilach się tak czułam, źle, wykończona tak, że miałam tylko siłę na pomstowanie na niebo, zła na to, że już nie odróżniam, kiedy moje myśli to faktycznie moje myśli, a kiedy choroba wydziera ze mnie siłą to, co do niedawna uważałam za normalność.

Po tygodniach pojawił się wstyd, wielka, świeża rana na moim sercu. Akurat w tym jednym moja babcia miała rację–nowotwór piersi faktycznie otwiera serce. A przy okazji, całą klatkę piersiową. Otworzył moje serce na zgniliznę tłumioną kroplówkami i lekami, od których leżałam otępieła. Twarze pielęgniarek zwały się w niewyraźną, popielatą plamę na tle jarzeniówek. Mama trzymała mnie za rękę, całowała mi czoło, przynosiła książki ze szkoły, ciasta, które robiła z kuzynkami i ciotką, a jednak ten dotyk w niektórych chwilach przeciążał, jej płacz dobijał, bo nie mogłam jej powiedzieć, że będzie lepiej, że będzie dobrze, Mogłam pięknie jej to obiecywać, ale widziała, jak wiję się w dreszczach, widziała, jak marnieję. Wiedziała, że wszystko w rękach lekarzy, czy przeżyję, a jeżeli się uda, to pozostanie strach rzeźącego o życie organizmu, by nie nastąpił nawrót.

I nagle rozumiałam, co czuł ojciec. Rozumiałam, że w trakcie leczenia wcale nie będę czuć się dobrze, że będą chwile przyływu wiary, ale i one znikną po pewnym czasie pod siłą fizycznego bólu.

To, co zrobisz po tym bólu, po tygodniach, miesiącach i latach radzenia sobie i świadomości, że to nie powinno się przydarzyć, że nie powinieneś tego doświadczyć, lecz doświadczyłeś i nic nie cofnie tego, co się wydarzyło, to czas refleksji. W czasie choroby wierzysz w coś tak długo, aż pojawia się bzyk z tyłu twojej głowy i dociera do ciebie, że pojawia się kolejna troska, trwoga. Przygniata cię.

- Jak trwoga to do Boga - powiedziała moja mama.

Po drugiej chemioterapii wybłagałam podwójną dawkę środków nasennych i nie w głowie mi były modły do Boga, modły do świata o litość. Czułam tę litość całą sobą. Ostatnio oglądałam dużo wpisów kobiet na forach internetowych które wygrały z rakiem w nadziei, że pomoże mi to przetrwać trudny czas, że pomoże mi lepiej wspierać moją mamę. Czasami w nerwicy mamrotałam modlitwy, lecz w tamtej chwili, byłam całkowicie umęczona tą bezsilnością. Jeśli ktoś był religijny, faktycznie religijny, to w modlitwie znajdował jakąś siłę, widział znaki, których ja nie widziałam i ja to rozumiałam, szanowałam.

Ale słyszałam tylko ciszę. Wstawałam z rana, otwierałam komputer i jak najęta klikałam w ikonkę forum.

I nic z tego. Nie utożsamiałam się z niczym. Kobiety mówiące, że nowotwór nie odebrał im kobiecości, a wizja śmierci otworzyła im oczy, że Pan Bóg je wysłuchał, że teraz są silniejsze, że to nie wyrok, wywoływały we mnie gniew tak duży, że zamykałam laptopa i zataczałam się na łóżko.

Zastanawiałam się, czy powiedziałyby to samo rodzicom sześciolatniego Maćka z nowotworem czwartego stopnia z przerzutami, którzy muszą zebrać w kilka miesięcy grube miliony na operację w innym kraju. Zawsze była nadzieja, jasne, ale ich odczucia wynikały z tego, jakimi były osobami - z natury pogodnymi, a co najważniejsze - żywymi. Byłam ciekawa, co miałyby do powiedzenia ich rodziny, w których stres zawsze będzie nieodłącznym kompanem ulgi, nawet, jeżeli wyda im się, że się tego pozbyły. Strach był jak feniks, strasznie ludzki - zawsze jakoś odradzał się z popiołów. Byłam ciekawa, czy miały identyczne uczucia wolności i komfortu, kiedy obserwowały, jak uśmiech ich ukochanej mamy, żony czy babci topi się w chorobie ich twarzy, nieproporcjonalny do tego, co było wewnątrz ich organizmu. Slogany tych wszystkich kampanii robiły wrażenie, ale tylko wtedy, kiedy naprawdę nie leżałeś przykuty do tego łóżka, nie wiedzący, czy modlić się o życie czy o śmierć?

Wtedy wszystkie pokrzepienia, wszystkie płacze cichły i na nowo odradzały się dopiero następnego ranka, o ile otworzyłeś oczy. Wtedy pojawiała się szczęście

tych małych chwil, wzruszenie, że ktoś przy tobie jest, ale to nigdy nie było ani czarne, ani białe. Nigdy nie było stuprocentowego szczęścia, bo widziałam, jak lekarze rozmawiają z mamą, jak jej twarz kamienieje za każdym razem.

Plusem było to, że rzadko kiedy była całkowita rozpacz. Były kryzysy, a każdy z nich wydawał się końcem świata, ale po nim... był zawsze kolejny dzień i światło, które mama przynosiła na mój widok.

A potem myśl z tyłu głowy, że to może być ostatni raz, kiedy je widzę.

Myślałam, czy te kobiety naprawdę myślały to, co napisały, czy po prostu chciały wyjść pozytywnie? Czy nie mówiły o tej najgorszej stronie choroby dla dobrego wrażenia, czy też lata od przebytej choroby bez nawrotu pozwoliły im dojść do tych wniosków. Żałowałam, szczerze, że moja babcia nie była jednym z tych kolorowych wpisów. Jej bym wysłuchała.

Ale nie mogłam. I to też nie był wyrok. Tyle dobrych osób żyło, tyle okropnych osób żyło, tyle dobrych osób umarło mimo chęci życia, tyle złych osób chciało żyć i nadal żyją, chciały żyć i nie żyją, nie chciały żyć i tak dokładnie się stało. Czasem z własnego zaniedbania, arogancji, ale w wielu przypadkach ludzie mieli tyle ciepła i wsparcia, tak się starali, mieli tyle planów, jednak... To był czwarty miesiąc chemioterapii i całkowicie odwróciłam się od Boga.

Mimowolnie wysłuchiwałam tylko jednej osoby–dziewczyny z mojego oddziału.

Ta pierwsza zaczęła mnie, kiedy wyszłam na korytarz by odetchnąć, wściekła na to, że twarze pielęgniarek zaczęły tak bardzo zlewać się w jakąś bezkształtną formalinę. Byłam zła na to, że byłam zła. Nie znalazłam nawet jednej wzmianki o czymś takim na forach, o takich silnych reakcjach kobiet, o tym, że z gniewu tłukły przedmioty, że nie były w stanie jeść mimo burczenia w brzuchu z przyczyn innych niż te fizyczne, że były każdym poirytowane, że walczyły latami z uzależnieniem od leków podawanych na łagodzenie dolegliwości.

Tudzież chciały popełnić samobójstwo lub przynajmniej usilnie o tym myślały...

Dzień wcześniej chciałam wyskoczyć z balkonu szpitalnego. To był ten kryzys, ten jeden, jedyny kryzys, w którym myślałam, że to naprawdę nie ma sensu. I o dziwo, to w tym błyszczącym niebie o północy znalazłam jakieś piękno, niczym Achilles pod Troją, niczym Odyseusz poszukujący swej Itaki, jak Twardowski na księżycu, jak Hamlet szukający odpowiedzi w niebie.

Pragnęłam oddać się strefie *sacrum* mojego życia, istnieć tylko w myślach i żyć w nich tysiącem żyć kierowanych przeze mnie jako inni ludzie, ludzie, którzy nie mają limitów, których ogranicza jedynie wyobraźnia.

Ale nadal pozostawałam w strefie *profanum*, bo mój mózg istniał w tym czasie. Jeżeli z tego wyjdę, z tego stanu oglądania nieba w prawdziwej jamie piekła, zawsze będę uwiązana tym, jak straszliwie ludzka choroba mnie spotkała, jak bardzo redukowała moje lunatyczne marzenia o setce innych żyć, które

mogłabym przeżyć lepiej, bo to obecna ja zasilala wszystkie te myśli, te wspomnienia, które nie były moje.

I mimo wszystko moje ciało zaburczało, zaswędziało, oblał je chłód.

Więc wróciłam, by się przykryć i ogrzać.

Dziewczyna zauważyła, że jestem poirytowana. Nie chciałam się tłumaczyć ani niczego wyjaśniać, ale ona po prostu zacisnęła dłoń na mojej dłoni.

- To, co czujesz, jest naprawdę ważne - wychrypiała zdartym głosem. - Jeśli nie pamiętasz o tym, to po to są ludzie dookoła. Żeby ci o tym przypomnieć, zawsze, wszędzie.

Przez chwilę nie mogłam zebrać myśli.

- Co... - ślina zastygła mi na języku. Nie mogłam patrzeć w jej oczy, takie miłe i łagodne mimo bólu. - Jeżeli nikomu nie wierzę?

- Jeżeli nie człowiekowi, uwierz czemuś metafizycznemu - stwierdziła. - Wielu ateistów twierdzi, że w nic nie wierzy, ale to nieprawda. Ludzie z natury muszą w czymś widzieć obraz, który do nich przemówi, czy to w rodzinie, czy w sobie, czy w tym, co to wszystko tworzy, w emocjach, w tym, co je wywołuje. Wszystko wywołuje emocje, nawet jeżeli są one przytłumione jak apatia albo gwałtowne jak furia.

Nie wiedziałam, jak wybudowali szpital, ale w jego podziemiach znajdowały się ruiny starego kościoła. Po rozmowie z nią długo stałam jak posąg przy oknie, aż w końcu, gdy dziewczyna poszła, zeszłam na dół. Miałam w głowie wielki supeł i nie wiedziałam, jak go rozwiązać. Byłam zmęczona realizmem, co było słabością, z którą nie umiałam sobie radzić. Zbyt nadmierny optymizm szkodził na równi z nadmiernym pesymizmem. Staralam się trzymać to na równi, lecz wydawało mi się, że gasnę.

Przez kopułę w szybie wpadała smuga światła, niemal rajska.

Gapiłam się na nią tak długo, aż w pomieszczeniu nie było niczego oprócz niej, ciemności. Nie mogłam określić, gdzie mi było bliżej, całym sercem liczyłam, że w przyszłości się określe.

Przyszłość. Widziałam ją i widziałam w niej siebie. Nie mogłam żyć za babcię ani tatę, nie mogłam brać sobie na barki ich marzeń i snów, ale mogłam rozwinąć moje własne z ich obrazem w sercu. Nie jako senny koszmar, lecz jako narzędzie natchnienia takich, jakimi byli, zawsze z intencją, której mieli się podjąć.

Następnego dnia miałam mastektomię. Siedziałam blada i zestresowana na szpitalnym łóżku z jedną myślą - naprawdę nie chcę umrzeć. Naprawdę chcę być silna. Chcę spaść z jednego pagórka, żeby następnie ambitnie poszybować o sto w górę. Chcę stanąć przed lustrem i płakać, bo raczej nie obędzie się bez żalu i złości, lecz by nie był on permanentny, by zmienił się w determinację, skoro aż

tak pragnę odnaleźć w tym wszystkim siłę, niech wykwitnie ona z przestrzeni słabości.

Muszę być silniejsza od mojej rozpacz, przewyciężyć ją, nie być w żałobie po samej sobie, bo to wciąż ja, po tym wszystkim, to zawsze ja.

A potem, gdy zabieg się rozpoczął, nie myślałam zupełnie o niczym...